

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

(Ciąg dalszy).

— Tak, nie dawałem o tem znać. Gdy zbiorę więcej faktów, wtedy bezwarunkowo poinformuję o nich władze bezpieczeństwa.

— Czy chce pan jeszcze zapytać się mnie o co? — rzekł Hammerton, wyjmując brylant z wody i podając go Wilfredowi.

— Tak. O jedną rzecz zwłaszcza. Ojciec mój był zarazem i jedynym moim przyjacielem. Nie potrzebuję też nikogo powiadamiać o nieszczęśliwym jego zgonie. W miasteczku, w którym już tyle lat przebywam, wiadomość ta rozniosła się sama z ust do ust. Pozostają jednak przyjaciele mojego ojca i...

— Pozwoli pan powiedzieć sobie zaraz — przerwał Hammerton — że jeżeli mogę w jakikolwiek sposób oszczędzić panu tego smutnego obowiązku, podejmę go się sam. Winienem to jego pamięci, jeżeli już nie panu samemu.

— Dziękuję jak najserdeczniej — rzekł Wilfred, ściskając podaną sobie dłoń. — Chodzi jednak o inną osobę. Matka moja, jak pan prawdopodobnie już wie, zmarła zaraz po mojem urodzeniu, lecz ojciec mój w kilkanaście lat potem ożenił się po raz wtóry. Nigdy nie znałem drugiej jego żony, zdaje mi się jednak, że muszę, jeżeli jeszcze żyje, powiadomić ją o nieszczęściu, w sposób jak najogłędniejszy. Co się panu stało?

Hammerton powstał nagle od stołu i zbliżając się do okna, patrzył przez nie z czołem opartem o szybę.

— Czy ojciec panu nigdy nic nie mówił? — zapytał po kilku chwilach Hammerton, zniżając głos. — Prawdopodobnie nie: sądził że lepiej o tem nie wspominać. Może miał do tego powody, a jednak...

— Nic nie rozumiem, dlaczego mówi pan tak tajemniczo? Proszę, niech mi pan to wyjaśni, przecież to dotyczy mego ojca! — błagał Wilfred.

— Wszystkie opowiem, proszę tylko o cierpliwość — odrzekł Hammerton, siadając. — Działo się to tak dawno, iż można było zapomnieć. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał kiedyś o tem wspominać. Jeżeli wyda się panu coś niejasnym, niech pan się pyta.

— Będę słuchał uważnie, proszę niech pan mówi.

— Już może trzy lub cztery lata znałem pańskiego ojca, gdy się znowu ożenił. Nie mogę panu podać ścisłej daty, gdyż nie pamiętam, nigdy potem o fakcie tym nie myślałem. Nie wiedziałem jak się nazywała ta dama, nie posiadałem żadnych o niej wiadomości, chyba to tylko, iż była cudownie piękna i że była śpiewaczką operową. Gdy przybyła do Limy z trupą amerykańską, której była dyrektorką, liczyła mniej więcej dwadzieścia trzy lat życia. Ojciec pański z powodu swych obowiązków konsularnych bywał w ciągłych z nią stosunkach, a jak się potem okazało, dał się podbić i jej urokowi. Mówię umyślnie, dał się podbić, gdyż dama ta, zimna i bez serca, była według mnie niezdolna do kochania kogokolwiek. Ona spostrzegła, że ojciec pański bywał przyjmowany w najlepszych towarzystwach w Limie i wyobraziła sobie wskutek tego, iż musi on posiadać wielki majątek. Dla mnie było jasne, iż ona tak manewruje, by zmusić Ryszarda do poślubienia siebie. Ojciec zaś pański nie należał do ludzi, którzy mogliby zwieść kogokolwiek, a zwłaszcza swą narzeczoną; sam słyszałem, jak nieraz jej mówił, że nie ma żadnego majątku. Słowa te przyjmowała z niedowierzaniem, twierdząc zarazem, że uczucie jej nie jest zależnem od posiadanych przez niego pieniędzy. Gdy wieść o jego zaręczynach rozszedła się, stosunki Ryszarda z przyjaciółmi do tego stopnia oziębły się, iż ja jeden tylko byłem świadkiem jego ślubu. Związek ten nie został także dobrze przyjęty w całej kolonii angielskiej i doszło do tego, iż młodzi małżonkowie prawie wszędzie znaleźli przed sobą drzwi zamknięte; nikt nie chciał utrzymywać znajomości z jego żoną. Gdyby ona umiała zastosować się do swego położenia, bez wątpienia ten ostracyzm nie przybrałby takich wyjątkowych form, lecz ona od samego początku rościła sobie prawo do nadawania tonu całemu towarzystwu w Limie. Osądzono to poprostu za brak dobrego wychowania.

— Niestety, muszę i ja zgodzić się z tem zdaniem — rzekł melancholijnie Wilfred.

— Wkrótce pani Alliston spostrzegła całą swą pomyłkę, iż nie tylko nie może królować, lecz nawet być przyjmowaną. Zmiana w stosunkach społecznych odbiła się ujemnie i na jego dochodach.

Poprzednio oprócz swego wynagrodzenia w konsularacie, miewał wiele prywatnych interesów handlowych do załatwienia, co mu przynosiło stosunkowo dość znaczny dochód, po ślubie jednak nikt mu nie powierzał już swych spraw. Pani Alliston nie chciała przyznać, iż to z jej powodu nastąpiły te niepowodzenia, a nawet ośmielała się wyrzucać mężowi, iż nie zarabia tyle, by ona mogła błyszczeć. Następowały coraz częstsze nieporozumienia między nimi, aż wreszcie doszło do zakończenia.

— Umarła?

— Nie, poprostu uciekła. Pewnego ranka ojciec pański otrzymał od niej list pisany na statku, dążącym do Nowego Jorku. Pokazał mi ten list, który był bez daty i podpisu. Nie pamiętam użytych w nim słów, donosiła jednak, iż uważa małżeństwo to za niebyłe, gdyż mąż nie dał jej tego, czego ona od niego spodziewała się i że wstępuje na scenę.

— Jak ojciec przyjął tę wiadomość.

— Prawdę mówiąc, to zdaje mi się, iż z pewną ulgą. Początkowo pragnął za nią jechać. Dał się jednak namówić, by tego nie czynił, gdyż to tylko pogorszy jego położenie. Usłuchał naszej rady i był potem zadowolony z tego. Stosunki naprawiły się i po dawnemu był wszędzie mile i serdecznie przyjmowany.

— Czy wie pan, co się z nią stało?

— Nigdy nic już o niej nie słyszałem. Sądząc z jej charakteru, nie można przypuszczać, by się potem uspokoiła i pozbyła się swej żądzy błyszczenia. Przez miłość dla pamięci pańskiego ojca, pragnę, by już nie żyła, zanim by miała się stoczyć na dno nędzy ludzkiej, a tego można się było obawiać.

— Tak, to najszcześniejsze byłoby wyjście z tego wszystkiego dla pamięci ojca i dla niej samej — potwierdził Wilfred.

— Czy jeszcze chce pan się czego dowiedzieć? — zapytał Hammerton, spoglądając na zegarek.

— Opowiadania o ojcu słuchałbym chętnie przez noc całą — odpowiedział ze smętnym uśmiechem Wilfred — lecz jest już późno i pan musi powracać. Może jednak będę miał jeszcze przyjemność pana widzieć?

— Z pewnością, sam tego pragnę. Pozostawiać będę w Anglii około trzech miesięcy z powodu różnych spraw. Zdaje mi się zbyt czczeniem zapewniać pana, iż dołożę wszelkich starań, by rozwikłać tajemnicę, otaczającą śmierć biednego Ryszarda. Spodziewam się, że i pan będzie mi w tem pomocny.

— Dziękuję z całego serca, może być pan o tem przekonany.

— Gdy pan zechce do mnie pisać, proszę adresować poste-restante do Londynu, nie mam bowiem stałego mieszkania. Do widzenia, miejmy nadzieję, że złoczyńcę oddamy w ręce sprawiedliwości.

— I ja na to liczę. Dziękuję jeszcze raz. Do branoc i dobrej podróży.

IV.

Już dwa tygodnie upłynęło, a w Greenleafhurst nie zaszło nic ważnego, nie natrafiono na żaden ślad. Nawet Joe Muskin przestał zajmować się już tą sprawą, chociaż z początku liczył bardzo na odkrycie zbrodniarza i na otrzymanie wskutek tego nagrody dwustu funtów szterlingów. Zawiedziony w swych nadziejach, patrzył ze złością na przyniesiony z szopy kawałek gliny ze śladem stopy i chciał go już nie raz rozbić, w ostatniej jednak chwili zawsze się powstrzymywał.

Dnia tego Joe czuł się przybitym, nieszczęśliwym. Wczesnym rankiem obszedł całe swe gospodarstwo, potem zamknął się szczerlnie w domu i ze sztucznej skrytki pod kominem wyciągnął ciężką, żelazną skrzynkę z pieniędzmi. Z rokoszą wziął ją w swe dłonie, postawił ostrożnie na stole i otworzył. Wyjął z niej woreczek ze złotem. Rozłożył przed sobą błyszczące monety, policzył je skrupulatnie i z ciężkiem westchnieniem włożył je z powrotem do woreczka.

Był to smutny dzień dla niego, miał bowiem iść do zamku i te wszystkie pieniądze oddać do rąk sir Johnowi Lesterham jako czynsz za fermę. Ponieważ zbliżało się już południe, schował woreczek do kieszeni i wyszedł. Szedł jak mógł najwolniej, by najdłużej zatrzymać pieniądze przy sobie: sprawiało mu to osobliwą przyjemność. Minął jednak miasteczko i droga mimo całej powolności skończyła się. Z chmurnem czołem wszedł do zamku.

Sir John był u siebie. Po kilku minutach oczekiwania, wprowadzono Joe do biblioteki, gdzie baronet zajęty był pisaniami.

— Ach, to pan Muskin, bardzo mi przyjemnie pana widzieć — rzekł uprzejmie. — Jak zwykle

jest pan uosobieniem punktualności. Proszę, niech pan usiadzie, zaraz poszukam kwitu.

Muskin siadł ostrożnie, kręcąc woreczkiem w rękę, z przybitą miną, jakby chciał wyrazić w ten sposób boleść z powodu rozłączenia się z pieniędzmi.

— Słyszałem, że pan się zeni wkrótce — rzekł sir John — patrząc z dobrym uśmiechem na jego zakłopotaną minę.

— Tak, za dwa tygodnie już mój ślub, o ile nic nie stanie na przeszkodzie.

— I to córka kierownika poczty jest tą szczęśliwą osobą, prawda?

— Tak, żenię się z Adą Ponderbury.

— Przekonany jestem, że będzie dobrą żoną, panie Muskin, życzę wam obojgu wszelkiej pomyślności. Musi jednak znajdować się pan obecnie w trudnem położeniu. Wydatki...

— Tak, tak, wydatki teraz rosną — przerwał Joe. Spostrzegłem już to, a będą jeszcze większe.

— Wierzę w to zupełnie — odparł baronet śmiejąc się — zawsze tak bywa, gdy rodzina rośnie. Gdy się o tem dowiedziałem, pomyślałem, że w obecnej porze potrzebować pan będzie pieniędzy. Z zadowoleniem mogę panu ofiarować mały okolicznościowy prezent. Oto pański kwit, może pan zabrać pieniądze.

Twarz Muskina rozpromieniła się radośnie, gdy baronet podał mu kwit. Zaczął dziękować uniżenie, zapewniając, że zawsze będzie pamiętał okazaną mu dobroć... nagle urwał i poplądł. Spostrzegł brelok, jaki sir John nosił zawsze przy zegarku: był on w formie pierścionka.

— Co się stało? — zapytał, spoglądając na niego zdziwiony, co panu jest?

— O nic, proszę pana, nic, to tylko szlachetność pana tak mnie wzruszyła, nic więcej.

— No, dobrze, panie Muskin, niema już o czem mówić. Do widzenia: jeszcze raz winszuję panu i pańskiej narzeczonej.

Joe wychodził z zamku z inną zupełnie miną, niż do niego wchodził: brząkał radośnie pieniędzmi, zarazem jednak rozmyślał o odkryciu, jakiego dokonał u sir Johna.

— Teraz to już z pewnością dwieście funtów szterlingów moje! I to on! on! kto by to pomyślał. Nie wziął dlatego pieniędzy, bym go nie zdradził. Będę miał dwieście funtów, jakem Muskin. Teraz rozumiem, dlaczego on był niespokojny w czasie śledztwa. Nie trzeba o tem wspominać ani Allistonowi, ani ojcu Ponderbury, by mnie nie ubiegli. Nikt go nie podejrzewa. I ten odcisk, który mam, to musi być z jego nogi. Muszę przez lokaja dostać jego trzewiki, aż natrafie na te same. Wszystkie dowody już mam, przecież widziałem, że w pierścionku, który wisiał jako brelok, brak brylantu... tego samego, co znalazł Alliston. Dwieście funtów jest już moje.

Tego samego dnia w dżdżysty i ciemny wieczór, w starym zapuszczonym domu na Carwood Street, jednej z brudniejszych ulic Londynu, w pokoju na pierwszym piętrze spał mężczyzna średnich lat. Widać było, iż wrócił on do domu w nietrzeźwym stanie i rzucił się od razu na nieposłane łóżko, w ubraniu w nieładzie i kapeluszu na głowie. Pomimo zbliżającej się nocy i prawie już kompletnego zmroku, wnioskować można było z rozrzuconych po pokoju rzeczy, iż właściciel ich miał pewne pretensje do elegancji. Czarna hebanowa laska ze srebrną rączką, leżała na stole obok cienkiej rękawiczki, druga śpiący miał jeszcze na ręku. Obok łóżka na podłodze, świeciła się srebrna papierośnica, pozostająca w rażącej sprzeczności ze starymi poniszczonymi meblami. Również i ubranie, mimo iż było już pogniecione i zabłocone, świadczyło o pochodzeniu od dobrego krawca.

Ciszę panującą w pokoju przerwał nagle odgłos ciężkich kroków na skrzypiących schodach, potem pukanie do drzwi, z początku ciche, następnie jednak coraz głośniejsze. Wreszcie przybysz, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, otworzył z hałasem drzwi i wszedł do środka.

— A to pech! Niema go! — zawołał niezadowolony i zaklął ohydnie. — Wyszedł, gdy ja mam ważne wiadomości. Ej! co to? jesteś?

Słychać było oddech śpiącego. Gość zapewne obeznany już z położeniem pokoju podszedł do kominika i zapalił stojącą na nim świecę, potem krzyknął silnym głosem:

— Hej! Hollis! wstawaj! Dobre nowiny! To ja Barker!

Hollis obrócił się zaspany, przecierając oczy palcami.

— Jak? co? — pytał niewyraźnie nosowym akcentem, właściwym Amerykanom.

— To ja, Barker. Mam z tobą do pomówienia.